

Rob van Essen, *Dobry syn (De goede zoon)* (fragment)

Vertaling/ przekład: Olga Niziołek (o.niziolek@gmail.com)

- *Daj spokój.*
- *Tak?*
- *Wysłałem ci filmik z PPKP. Widziałeś już?*
- *Piłka nożna? Korfbal?*
- *Nie, serial. „Prawdziwi przyjaciele, kiepscy przyjaciele”. Na pewno kojarzysz.*
- *Tak, coś mi się obilo o uszy. A czemu mam to obejrzeć?*
- *Sam zobaczysz. Minuta i 32 sekundy, tam się zaczyna. To surowy materiał, nie zwracaj uwagi na dźwięk.*
- *Chwila. (...) Okej, mam obraz. Na co mam patrzeć? Nic mi to nie mówi. Kim są ci ludzie?*
- *Nowi bohaterowie, ale to nieważne, potem się tym zajmiemy. Patrz na wystrój wnętrza.*
- *No? Coś jak lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, nie?*
- *Przyjrzyj się. Nic nie widzisz? Nie poznajesz?*
- *Nie oglądam seriali, na co mam patrzeć?*
- *To mieszkanie Bonza.*
- *Jezu, masz rację. Jak to możliwe?! To chyba nie może być przypadek? Kto by... ach, no tak.*
- *Właśnie. Myślisz, że zrobił to specjalnie? Czy zwariował?*
- *Może szukał inspiracji?*
- *To nowy bohater, nie wiem, skąd się wziął, ale pomyśl. Skoro na starcie tak wygląda jego mieszkanie...*
- *No, pomyśl tylko.*
- *Chyba musimy coś z tym zrobić.*
- *Musimy.*

(transkrypcja rozmowy telefonicznej z archiwów KONTYNUOWANEJ OPIEKI,
niedatowana, XX wiek, początek lat dziewięćdziesiątych)

1

DZIEŃ PIERWSZY I DRUGI

I

Wdałem się dzisiaj w kłótnię przy kasie w supermarkecie na Rijnstraat. Nawet nie, *prawie* się wdałem. Kobieta za mną wyłożyła już zakupy na taśmę, choć ja jeszcze nie skończyłem ze *swoimi*, źle znoszę, kiedy ktoś zagarnia moją przestrzeń, przestrzeń, która

przynajmniej w tamtym momencie należy do mnie i owszem, dobrze wiem, że tak się nie zaczyna powieści, nie jestem, jasna cholera, żadnym *felietonistą*, ale coś takiego potrafi mnie doprowadzić do szewskiej pasji, jakaś osoba ignoruje istnienie innych i już z tego powodu trzeba by było zabić ją tam i wtedy, a zarazem nie stało się nic wielkiego, bo kobieta widziała, ile mam jeszcze zakupów, i zostawiła mi wystarczająco dużo miejsca. Innymi słowy – zero problemu, można by nawet powiedzieć, że działaliśmy z koordynacją, jakbyśmy się umówili, że zrobimy wszystko, by płacenie poszło szybko i sprawnie, ale tak czy inaczej – trzeba by ją chociaż mocno popchnąć albo zamasztyłym gestem strącić z taśmy wszystkie jej zakupy, już widziałem, jak słoik dżemu rozbryzguje się na kafelkach, trzeba by przynajmniej *móc zwrócić jej uwagę*, ale to też niemożliwe, bo wiem, że nie znajdę odpowiednich słów, mogę w domu przygotować sobie na piśmie zdania, którymi w takich okolicznościach należy kogoś obrzucić, ale nawet wówczas nie miałbym pojęcia, skąd wziąć wyniosłą pewnością siebie potrzebną, by wygłosić taki tekst z przekonaniem, nie dla mnie tego typu teksty, nie dla mnie tego typu sytuacje, jestem zbyt miły, zbyt uступliwy, przecież mówię, że *prawie* się wdałem, a zamiast coś z tym zrobić, tylko umocniłem swoją bezpłciową uступliwość przez ten cały buddyzm i kursy medytacji. I co tak właściwie mam z kolejnych prób przyswojenia sobie rozwagi i współczucia? W ostatnich latach zagnieżdził się we mnie mały buddysta na pół gwizdka, mały, łysy buddysta w pomarańczowej szacie, utuczyłem go na kursach medytacji i książkach, i broszurkach, a on w podziękowaniu demonstruje pozbawiony przywiązania uśmiech, którym powinienem witać sytuacje takie jak ta przy kasie, niech to minie, to wściekłość, a nie *twoja* wściekłość, to złość, a nie *twoja* złość, sprowadzasz na siebie cierpienie przez przywiązanie do własnego nastroju. Powinienem ściągnąć mu pięściami ten uśmiech z twarzy, najchętniej zahaczyłbym palce z prawej i lewej strony o własne zębra, rozciągnął je i włożył ręce do środka, by własnoręcznie udusić małego, łysiego wewnętrznego buddystę, złapać go za gardło tak ciasno, żeby aż mu spęczniała głowa, a gałki oczne wyleciały z niej jak kulki i roztrzaskały się o mur.

A potem odstrzelić wszystko i wszystkich, zaczynając w supermarkecie Albert Heijn. To się oczywiście nie uda, nie mam tyle amunicji, nie mam nawet broni. *Jestem nieuzbrojony*. Dwa słowa, od których pada na człowieka blady strach. Już sześćdziesiąt lat chodzę po tej planecie nieuzbrojony. Przyznaję, w większości były to spokojne lata, ale nagle wydają mi się absurdalne, jakbym przez sześćdziesiąt lat chodził nago, zapraszając każdego, by robił ze mną, co mu się podoba. Dość tego! Odnajdę wewnętrzny spokój dopiero wtedy, gdy będę mógł się uzbroić. Wystarczy mi pistolet czy tam rewolwer, na czym polegała różnica, no i widzicie, nic nie wiem, a już na pewno nie wiem, skąd wziąć taką zabawkę. Wejść do jakiejś

szemranej knajpy i spytać barmana, czy... Coś mi się zdaje, że to nie zadziała, z tego czy innego powodu. Za czasów pracy w Archiwum mogłem poprosić o broń De Meestera, De Meester miał kontakty, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, a przynajmniej nie ja, tak więc to też nie było możliwe, a ile lat już minęło? Czterdzieści, jakbym wtedy kupił broń, to dawno by już zardzewiała na strychu czy w kuchennej szufladzie, teraz i tak musiałbym kupić nową. A żeby po prostu coś gdzieś zamówić z dostawą do domu – raczej sobie nie wyobrażam, że robię takie rzeczy, nawet jak się uda, to nigdy nie wiadomo, na jakie listy się trafi. Tak więc niedługo znów wyjdę nago na ulicę, jak we śnie, który rano wspomina się ze wstydem. *Wstyd!* Do tego nie trzeba mi snów, wystarczy wizyta w supermarkecie.

Po powrocie do domu i wypakowaniu zakupów usiadłem w fotelu mojej matki, który od tygodnia stoi jak mastodont na środku mojego salonu, w miejscu, gdzie postawili go ci goście, nie jest to dobre miejsce, już teraz wiem, że ciągle będę się potykał o ten kabel, „niech panowie postawią tutaj”, powiedziałem, „dziękuję”, i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że trzeba było dać im napiwek. Na pewno psioczyli na to w drodze powrotnej. A może wcale nie, może zastanawiali się tylko, dlaczego tamten facet chciał zachować stary fotel pionizujący własnej matki. Tak, panowie, mogę wam powiedzieć, że tamten facet sam nie wie, jego siostra nie chciała tego rupiecia i nie chciał go też dom opieki, gość nagle uznał, że to dobry pomysł, kiedy musiał opróżnić pokój po matce, i tym samym znów padł ofiarą własnego quasi-buddyzmu, podążaj za intuicją, to dzieło głębszych warstw świadomości, tego typu objawienia coś oznaczają, ten fotel pragnie znaleźć się u ciebie.

No, to siedzę sobie we własnym salonie w olbrzymim, szpetnym, obitym pomarańczowo-brązowym materiałem fotelu pionizującym, i bawię się pilotem. Na ikonkach zaznaczono na białe te części urządzenia, które można wprawić w ruch danym guzikiem. Są tylko trzy części i sześć guzików – dla każdej części jeden przycisk do podnoszenia i jeden do opuszczania – a mimo to ciągle całkowicie zaskakuje mnie to, co dzieje się, gdy któryś nacisnę, poruszająca się część fotela albo kierunek ruchu nigdy nie zgadzają się z moimi oczekiwaniami. BZZZ. Chciałem odchylić oparcie. Podnózek się podnosi. BZZZZZZZ. Siedzenie unosi się i pochyla do przodu. BZZZ. Chcę, żeby siedzenie opadło, zanim z niego zjadę, ale opada podnózek. BZZZ. Teraz oparcie znów się odchyła. Dwadzieścia lat temu tłumaczyłem mojej matce tego pilota. Jak ona go łąpała, wciskała każdy przycisk dwoma palcami, BZZZ, BZZZ, BZZZ, i jak ten fotel za każdym razem nie robił tego, co chciała, nie tylko tego pierwszego dnia, lecz zawsze, i jak coraz mniej cierpliwie tłumaczyłem, jak to działa – zobacz, mamy tu sześć ikonk fotela, przy każdym przycisku zamalowano na białe część fotela, której on odpowiada, widzisz? Na tym obrazku białe jest oparcie, więc ten

przycisk... ? Właśnie! A jak wracałem następnym razem – ta sama śpiewka. Nigdy nie szło jak z płatka, nigdy nie podchodziła do tego spokojnie. Przez całe życie matka zawsze *zastygała* na moment przed wykonaniem jakiejś czynności, jakby nie miała odwagi, jakby się bała, że zrobi coś nie tak i zostanie ukarana albo wyśmiana, a kiedy już się za coś zabierała, robiła to pospiesznie, na własną rękę, jakby chciała nadrobić stracony czas, ten ułamek sekundy, na który zmieniała się w sopel lodu. I tak było też z tym fotelem, jak szalona wciskała guziki w nadziei, że samo się ułoży. Ależ mnie to irytowało. Jezusmaria, kobieto, podejź na spokojnie i przyjrzyj się tym obrazkom! A teraz sam siedzę i męczę się z tymi przyciskami. Może dlatego siła wyższa zdecydowała, że mam się zatroszczyć o ten fotel – aby nauczyć mnie skromności, przywołać mnie do porządku. Kiedy jeszcze mogliśmy razem spacerować, kiedy jeszcze mieszkała w mieszkaniu dla seniora, po śmierci ojca, jak ona w drodze powrotnej wyciągała klucze z torebki i trzymała je przed sobą niczym miniarzędzie walki na długo przed tym, zanim ujrzelśmy drzwi wejściowe, i jak to mnie irytowało, mamy jeszcze co najmniej trzysta metrów, kobieto, nawet jeszcze nie skręciliśmy, naprawdę musisz wyciągać ten klucz *w tej chwili?* I jak ja sam, wracając z supermarketu Albert Heijn, ciągle łapię się na tym, że trzymam klucze w dłoni, zanim jeszcze dojdę na swoją ulicę, niczym, no właśnie, miniarzędzie walki; jakby to było zapisane w genach. Zawsze te pospieszne ruchy, zawsze chęć do pomijania ostatniego kawałka, do tego, żeby nigdzie nie być *całkiem*. Wszystko, czego się miałem oduczyć na tych kursach medytacji. Póki co fotel działa lepiej od kursów i weekendowych wyjazdów. BZZZ. Opuścić oparcie, proszę bardzo, za pierwszym razem.

To stary fotel, człowiek się zastanawia, ile jeszcze pociągnie ten mechanizm. Właściwie już dawno trzeba było jej kupić nowszy model, ale rzadko kiedy w nim siedziała, cały czas spędzała w sali wspólnej, razem z innymi staruszkami z demencją, a tamtejsze fotele pionizujące są już parę generacji dalej, jakiś miesiąc temu wszedłem do tej sali i nie wierzyłem własnym oczom: wyglądało to, jakby wszyscy oni – dziesięć kobiet i jeden mężczyzna z demencją i wszystkim innym – siedzieli na mostku promu kosmicznego Enterprise, tylko że bez aparatury i ekranów, jednaścioro nieustraszonych staruszków w nowiuteńkich miękkich fotelach z wysokimi oparciami i miękkimi poduszkami, w drodze do miejsca, z którego nie wrócił jeszcze żaden człowiek. Do tego wszystkiego między fotelami kursowały tam i z powrotem dwa opiekoroboty z milusim futerkiem, jeszcze do nich nie przywykłem, chociaż jeździły tak już od paru lat, za każdym razem, gdy je widziałem, zdawało mi się, że ich obecność jakoś nie pasuje, że to nie jest miejsce dla nich, jakby ktoś przetransportował je tu z przyszłości. Coś takiego akurat zdarza mi się ostatnio częściej, jak

gdyby z przyszłości bezustannie obrzucano mnie nowymi rzeczami, pewnie znaczy to, że się starzeję, dawniej sześćdziesiątka była nową czterdziestką, ale to było wtedy, kiedy my mieliśmy czterdziestkę, a inni sześćdziesiątkę. Parę tygodni temu widziałem, jak troje starszków z demencją *głaszczę* opiekorobota, mieli niemal bezwładne dłonie i szczęśliwe uśmiechy, ich stare palce wciąż od nowa przeczesywały zwisające futro, jakoś mnie to przerażało, widziałbym to w koszmarze sennym albo w horrorze. A teraz z kolei nowe fotele. Musiałem się porządnie przyjrzeć, żeby zauważyć, że się *ruszają*. Najpierw zdawało mi się, że mi się przywidziało, ale nie: wszyscy starszankowie, pogrążający się w morzu nieświadomości, byli delikatnie kołysani, ugniatani i masowani przez swoje fotele, a w dodatku podobało im się, jasne, że im się podobało, rozkoszowali się tym z półprzymkniętymi oczami. Wyglądało to obscenicznie, inne słowo nie przychodzi mi na myśl, może poza „obleśnie”, a moja drobna niczym mysz, wówczas jeszcze dziewięćdziesięciodziewięcioletnia, matka także siedziała w takim ugniatającym, kołyszącym fotelu i wyglądała, cholera jasna, jakby cichutko sobie *dochodziła*, nie żebym wiedział, jak wygląda moja matka, gdy dochodzi, to też byłby powód, żeby szukać broni – ale siedziała rozanielona z zamkniętymi oczami i półotwartymi ustami, może w siedzeniu foteli znajdowały się wypustki pasujące do różnych otworów w ciele, podczas gdy ja stałem przejęty wstrętem (tak, to słowo pasuje) przy wejściu na salę wspólną, patrzyłem na rząd nowych foteli z odurzonymi starszankami i marzyłem, by nagle oślepnąć.

„To nowe fotele”, powiedziała Roxy z taką dumą, jakby sama je zaprojektowała, ale nie zajmowała się projektowaniem foteli, tylko opieką nad starszankami z demencją.

Ledwo skończone dwadzieścia lat, melancholijne spojrzenie i chryпка, jakby ukradkiem sobie popalała. „Nie używa się już przycisków”, poinformowała, „są obsługiwane oralnie”. Nie miałem pojęcia, czy to miało brzmieć dwuznacznie, wszedłem na salę przywitać się z matką, żeby nie ujrzeć na tym fotelu *jej*, z tym melancholijnym spojrzeniem i takim samym wyrazem twarzy, co u mojej matki.

Mieć w domu taki fotel ze wszystkimi miękkimi, pulsującymi wgłębieniami i wypustkami. Nigdy by się z niego nie schodziło. Na szczęście ten mój należy do poprzedniej generacji. BZZ. Nie, siedzenie. BZZZ! Siedzenie! BZZZ! Nie w górę, w dół! Teraz już wciskam guziki dwoma palcami jednocześnie, jeszcze chwila i zmienię się we własną matkę, może od dawna nią jestem, tylko jeszcze o tym nie wiem. Oczywiście, jestem także nią, jestem swoją matką i swoim ojcem, krótko mieszanymi i wlanymi do szklanki, by następnie życie mogło powoli sączyć mnie przez słomkę. Lodu do tego? Parasolkę?

Usiłuję skoncentrować się na przyciskach. Zastanów się, nie szalej za bardzo. Licz wdechy. BZZZ. Im bardziej próbuję się skoncentrować, tym mocniej się wściekam. Na ten fotel, na kobietę z supermarketu, na maila od wydawczynie, co mam z nim zrobić, czemu ona nagle zaczyna marudzić na intrygę i takie rzeczy, nie jestem zły, jestem zmęczony, dużo się działo przez te tygodnie, powinienem się położyć, kiedyś, gdy czuwałem przy matce, spałem w tym fotelu, wtedy jakoś mi się udało ustawić oparcie, siedzenie i podnózek niemal horyzontalnie, teraz też musi się udać, chyba że wstukałem tamtej nocy jakąś tajemną kombinację, nie, bzdura, BZZZZZZ, podnózek, BZZZ, oparcie, proszę bardzo, leżymy, leżymy tak poziomo, że zastanawiam się, czy zaraz nie polecę do tyłu, ale wtedy – nocą, kiedy przy niej czuwałem – też tak się nie stało, moja matka ciężko oddychała w łóżku, ja na tym fotelu niemal nie zmrużyłem oka, teraz też nie, choć może tak... nie, ktoś do mnie dzwoni. Lennox.

II

Jakbyśmy ostatnio rozmawiali wczoraj. Tak przynajmniej wynika z jego tonu. Ja jestem głównie zaskoczony. Orientuję się, że to Lennox, dopiero gdy się przedstawia, numer nic mi nie mówi. Po co dzwoni? Nie po to, by zaoferować mi broń, piękne by to było, Lennox czyta w myślach i spełnia życzenia, a wtedy przecież też pracował z Mistrzem De Meesterem, więc czemu nie, no ale nie po to dzwoni, dzwoni, żeby mi powiedzieć, że Bonzo stracił pamięć i że musimy do niego jechać i coś z tym zrobić. Wielki zbieg okoliczności, nawiasem mówiąc, bo Bonzo i De Meester to jedna i ta sama osoba. Nie całą pamięć – mówi Lennox – tylko tę część życia, którą mu wymyśliliśmy. „Oj tam, *my* – głównie ty; jesteś nam potrzebny”.

„Bonzo”, powtarzam, „Bonzo? Daj mi chwilę pomyśleć”.

Oczywiście od razu łapię, o kim mówi, ale nie chcę mu tego okazać, chcę sprawiać wrażenie kogoś o tak bogatym i pełnym życiu, że na dźwięk nazwisk z przeszłości musi się chwilę zastanowić. Nie chodzi o to, czy to on się nabierze, robię to dla siebie, to ja mam się nabrać.

Po tym, jak już się nabrałem, mówię, że nie rozumiem, jak można stracić *część* pamięci. Lennox odpowiada, że też nie rozumie szczegółów, ale tak to właśnie jest. Być może pamięć składa się z warstw, a trauma usuwa jedną z nich, podczas gdy inne pozostają nietknięte. Oto słowa czytelnika książek popularnonaukowych, ale nie mówię tego, nie chcę na starcie robić sobie z niego wroga, dopiero co zaczęliśmy rozmawiać po tylu latach, a co więcej: Bonzo?! I do tego: trauma?! „Jaka trauma”, pytam, „o czym ty mówisz?” „Jeszcze nie

wiemy, co dokładnie się stało”, odpowiada Lennox, ale znów jest tym wcześniejszym Bonzem.

„Jak to wcześniejszym Bonzem”, pytam, „znów bzyka studentki przy oknach akademików?”

„Nie, nie”, odpowiada spokojnie Lennox, jakby to było całkowicie normalne pytanie, „też się deczko zestarzał”.

Dopiero później zaczynam się zastanawiać, skąd Lennox wie o utracie pamięci. „Czy to znaczy, że przez cały czas utrzymywałeś kontakt z Bonzem?”, pytam. Albo w ogóle wy wszyscy, goście z Urzędu, jakoś tak.

Słyszę, że Lennox się uśmiecha. Nie wiem, jak można słyszeć czyjś uśmiech, brzmi to równie absurdalnie co słyszenie, jak ktoś się poci, ale słyszę to głośno i wyraźnie, jakby siedział obok mnie.

„Nigdy tak całkiem nie zniknął”, odpowiada Lennox. Nikt nigdy nie znika.

Tylko ja, mówię, nie miałem z tobą kontaktu przez prawie czterdzieści lat. Przy tych słowach próbuję uśmiechnąć się tak, żeby było to słychać, ale nie wiem, czy mi się udaje, a trudno byłoby spytać „Hej, Lennox, słyszałeś przed chwilą mój uśmiech?”.

„Ty też nie zniknąłeś”, prostuje Lennox, „w sumie to nie”.

„Jak to?”, dopytuję. „Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że od lat mieszkasz naprzeciwko”, i – faktycznie – niemal leżąc na fotelu swojej matki, spoglądam w okna sąsiadów, ale tamci jak niemal zawsze mają zaciągnięte zasłony.

„Ach, i tak dalej”, mówi Lennox, „i tak dalej”, a ja nagle weseleję, bo przypomina mi to dawne lata, to, jak Lennox potrafił urwać konwersację, kiedy miał już jej dosyć. Zawsze sprawiał przy tym wrażenie odprężonego, z tymi swoimi półdługimi, słomianymi włosami i brakującą kością nosową, jak ktoś, kto dawniej trenował boks i nieźle oberwał, ale przestał już się tym przejmować.

Tak naprawdę nie miał na imię Lennox.

„Lennon?”, spytałem przy pierwszym spotkaniu. „Nie, Lennox”, odparł, „daj spokój, na pewno dobrze zrozumiałeś, bo jak dla mnie różnica w wymowie jest dość spora”.

Natychmiast mnie zainteresował. Przez swój płaski nos nie przypominał intelektualisty, ale jego słowa sprawiły, że natychmiast pomyślałem: nareszcie w tej grupie znalazł się ktoś z solidnym wykształceniem.

„Annie Lennox?”, chciałem wiedzieć. Był środek lat osiemdziesiątych, The Eurythmics nagrywali przebój za przebojem, wpadało to w ucho, ale nie wypadało lubić ich na poważnie. „Nie, po prostu Lennox”. „Tak, rozumiem, że nie masz na imię Annie, ale

pytam o to, czy nazwał się tak od Annie Lennox?”. W międzyczasie usilnie starałem się nie patrzeć na jego nos.

„Wiem, o co ci chodzi”, odparł, „ale nie”. Spojrzał na mnie pytająco, może z jakimś niejasnym zrozumieniem. Przez chwilę myślałem, że oprze ręce na moich ramionach. „Nie wszystko ma jakiś powód”, dodał.

„Hm, właściwie to wszystko? Przyczyna i skutek, te sprawy”, sprzeciwiłem się.

„Tak”, odparł, „ale tylko wtedy, gdy izolujesz poszczególne rzeczy”. Gdyby wcześniej położył mi ręce na ramionach, to w tej chwili by je zabrał.

„Ach, tak, obraz całości i tak dalej. Tyle że oglądane z daleka puzzle nadal składają się z mnóstwa kawałków”. Nie miałem pojęcia, skąd to wziąłem ani czy miało to jakikolwiek sens. „I tak dalej”, odparł Lennox, który zdążył już ruszyć przed siebie, „i tak dalej, i tak dalej”.

Tylko dlaczego teraz, czterdzieści lat później, wprawia mnie to w dobry nastrój – czy oznacza to, że dobrze się wtedy czułem, że tęsknię za tymi czasami? I dlaczego go słucham, dlaczego nie przerywam połączenia, tylko pytam, co się dokładnie dzieje i jak miewał się Bonzo przez ten czas? Potem Lennox wyjaśni mi: wszystko to dlatego, że nie mamy dzieci – lecz na razie zadaję pytania, jakbyśmy nadal byli tymi samymi osobami, co w czasach pracy w Archiwum, jakby ten czas stanowił logiczną konsekwencję tamtego dawno minionego okresu, jakby oczywiste było, że zaradzimy coś na problemy Bonza z pamięcią.

„Gdzie on jest? Dokąd musimy jechać?”, pytam, jakbyśmy już ustalili, że będę towarzyszyć Lennoksowi. Właściwie dlaczego nie, i tak nie mam nic do roboty. Pokoik mojej matki jest pusty, a mój wydawca nie chce wydać mi książki.

„Sam zobaczysz”, odpowiada Lennox.

Już dałem się przekonać; z powodu trzech słów, których użył: *jesteś nam potrzebny*.